Sta Ana Montns, Listopad 1876

Piszę do Pana i do Edwarda Lubowskiego – dziękując Wam przede wszystkim za list, który przez czerwone ręce doszedł mnie w moich odludnych górach. Przeszlę Wam wiązkę dosyć ciekawych nowości, ale przede wszystkim o businessie. Otóż „Gazeta” nie drukowała mojej korespondencji VI, ta bowiem, która wyszła pod numerem VI, traktująca o obyczajach amerykańskich, jest VII, a w VI jest opisana dalsza podróż z Omaha do San Francisco, przymusowy pobyt w śniegach na szczycie Gór Skalistych i wielkie stepy Nebraski, Wyomingu i Utah.

Żal mi jej, bo była może najbardziej malownicza, a przy tym obszerna. Wysłałem ją rekomendowaną 19 lipca; kwit mam, napiszcie mi więc jak najprędzej, czyście ją odebrali, czy nie. Jeżeli nie – będę reklamował i znaleźć się musi albo przynajmniej mi zapłacą z jakie sto dolarów. Byłbym już reklamował, gdybym nie przypuszczał, żeście ją przełożyli. Niech Wam się jednak nie pomiesza właściwa szóstka z tą, która była wysłana 13 lipca, w której opisywałem wodospady i stepy aż do Omaha. Porządek był taki: I. Do Douvru, II. Londyn–Liverpool, III. Morze, IV. New York, V. New York–Niagara–Omaha, VI. Omaha–San Francisco, VII. (fałszywa VI) Obyczaje, VIII. Anaheim. Anaheim–Landing.

Dziewiątą opóźniłem, bo na polowaniu miałem wypadek z ręką, którą podrapał mi kot, do którego strzeliłem zbyt drobnym śrutem. Gdym go podnosił z ziemi, ukąsił mnie i podrapał, co się trochę ogniło. Nie mogłem przez jakiś czas pisać dobrze, a jeszcze i teraz kaligrafia moja pozostawia wiele do życzenia – chociaż wszystko się już zagoiło.

Pisujcie do mnie: M. Henry Sienkiewicz Esq., Anaheim P. O. Box 79. Anaheim zawsze jest moją ostatnią pocztową stacją, chociaż mieszkam o pięćdziesiąt kilka mil dalej. Co parę tygodni Indianie mieszkający z tamtej strony gór San Bernardino wyprawiają się z mustangami do Anaheim, a nawet do Los Angeles i zabierają przez przyjaźń dla mnie wszystkie listy, jakie w Anaheim znajdują się adresowane na moje imię.

Ostatni list, jaki przywiózł mi wraz z gazetami mój czerwony przyjaciel Assavaun, zawierał nowości, które i Was będą mocno interesować. Pisał mi Captain Corvin Piotrowski, że pani Helena robi w San Francisco niesłychaną furorę. Główny teatr w Sam Francisco uczynił jej propozycję występów, ofiarując 600, wyraźnie sześćset dolarów za wystąpienie. Pani Helena nie zdecydowała się jednak wystąpić po angielsku. Wówczas proponowano, żeby wystąpiła po polsku w rolach szekspirowskich na tychże samych warunkach, ale nie zgodziła się i na to, pragnąc wypocząć po długiej i męczącej podróży, podczas której, jak Wam zapewne wiadomo – o mało nie utopili się wszyscy z powodu eksplozji na parowcu „Colon”.

W każdym jednak razie do występów później lub wcześniej przyjdzie, a za występami i do fortuny co się nazywa, jaką np. zrobiła Janauszek, artystka zresztą daleko gorsza i mniej umiejąca po angielsku, niż pani Helena umiała, o ile pamiętam, jeszcze w Warszawie. O Janauszek piszę na wiarę Piotrowskiego, który – jak i cała zresztą liczna kolonia polska w San Francisco – zachwycony jest panią Heleną. Zresztą już i w gazetach można znaleźć wiele wiadomości, bo redaktorowie chodzili z deputacją, prosząc o występy.

Artykuły pisane są prawdziwie po amerykańsku, wobec którego to sposobu najgorętsze pochwały europejskie wydają się bezbarwne i blade. Czy wobec tego wszystkiego powrót do Europy – *inclusive* do Warszawy – prędko nastąpi, nie wiem. W gazetach, które przysyła mi Horain, spostrzegam nieco zapóźnionego żalu, którego – o ile uważam – ani p. Deryng, ani „piramidalny talent i złote serce" Popielówny potłumić nie mogą. W „Gazecie" np. czytałem frazes, który mi dał do myślenia: „Od czasu wyjazdu pani Modrzejewskiej repertuar upadł". Krótko a węzłowato. Przyszła mi na myśl jakaś bajka o ptaku, którym dzieci się bawiły i którego dopiero wtedy zaczęły żałować, gdy urwał się i uciekł. Zresztą sens moralny zbyt jasny, abym go miał tłumaczyć.

Tymczasem, nim występy nastąpią, wiem z pewnością, że Chłapowscy przyjadą do Anaheim, bo wskutek listu, jaki odebrałem jeszcze z Panamy, nająłem im za psie pieniądze dom wraz z ogrodem, pomarańczami, palmami, tamaryszkami etc. w Anaheim. Prawdopodobnie nawet już tam są i dawno byłbym się wybrał do nich, gdyby nie to, że teraz w moich górach jest sezon jeleniowo-antylopowy, a za jeleniami ciągną pumy i szare niedźwiedzie.

Poluję z kilku jedynymi białymi skwaterami i z mymi czerwonymi braćmi tak zawzięcie i takim się stałem zagorzalcem myśliwcem, że trudno mi się jest oderwać nawet wobec tak wielkiej pokusy. Przy tym mój niekuty mustang tak sobie podbił kopyta w skalistych kanionach, że muszę czekać, aby trochę wydobrzał, żal mi go zaś zostawić, bom się do tej bestii, jakkolwiek złej i kąsającej, ale wiernej, przywiązał…

Z następnym jednak tabunem, jeśli tylko obrzydły Santa Ana-Wind ucichnie, wybiorę się z pewnością i może być, że ten list sam już wezmę na pocztę. W takim razie zapewne zabawię w Anaheim parę tygodni, potem zaś wraz z jednym traperem przedsiębierzemy awanturniczą wycieczkę aż do Dry Lake, między potężną i zupełnie jeszcze dziką odrośl szczepu Toniahawlów, a następnie przez krainy Apaszów i Komanczów aż za granicę meksykańską do Sonory.

Podróż to trudna, ale nie wymaga nic więcej, jak: konia, muła jucznego, dobrego oka i dobrego karabinu. To wszystko prócz muła posiadam. Dniem będziem spać, chroniąc się oka

Indian, a podróżować tylko nocą. Zresztą niebezpieczeństwo niezbyt wielkie, bo topór wojenny, mówiąc stylem indyjskim, od roku przeszło między południowymi pokoleniami a białymi (tylko nie Meksykanami) jest pogrzebany.

Na północy około Black Hi1ls wojna ze Siouxami wre ciągle, ale w Arizonie i Meksyku spokój. Zresztą – *by God*! – nauczyłem się trochę radzić sobie z Indianami, a że wszyscy umieją po hiszpańsku, więc i rozmówić się, i parlamentować z nimi mogę. Na koniec Transbernandyńcy nauczyli mnie mnóstwa ich sztuk wojennych i polowych: „widzieć i słyszeć w stepie", chować się i czytać ślady jak litery w książce.

Z małych oznak, ze zgiętej trawy, ze znaku mokasyna na piasku, z wyciśniętego kopyta, z resztek ogniska lub pokarmów śmiało, z zarozumiałością właściwą literatom stawiam wnioski, kto przechodził, gdzie szedł, ilu było ludzi itd.

Naturalnie puszczam się przy tym na indyjskie blagi, które tym łatwiej się udają, że ich najczęściej niepodobna sprawdzić.

Mimo wszelkich wysileń nie nauczyłem się tylko jednej rzeczy, to jest rzucać lassem, chociaż sztuki tej można się nauczyć i w Warszawie u hyclów, którzy psy łapią, bo zasada jest jednakowa.

Piszecie mi, żeby wrócić do Warszawy. Jušci wrócę, bo mi do swoich czasem tęskno, ale zresztą tak mi tu dobrze, tak zdrowo, tak kannibalsko błogo, Amerykanie są tak dzielni ludzie, tyle mający lojalności, prawości i cnót prawie niepojętych u nas, że przyzwyczaiwszy się do ich szorstkości, niepodobna się po prostu w nich nie rozkochać, a zarazem nie dojść do wcale nieegzaltowanego przekonania, jak nasza Europa się zestarzała, spodlała, zniewieściała i wyrodziła.

Tego się nie widzi na miejscu, ale widzi się to tu ze smutkiem. Rozkochałem się tu w ludziach, w naturze i w tym życiu zdrowym, potężnym, a tak wolnym, że nieraz mi się zdaje, że jestem ptakiem. Co to za skarb jest nieograniczona wolność, to znowu tylko tu można się przekonać.

Z Ameryką jest tak: z początku wszystko mnie raziło, wszystko mi się nie podobało — teraz muszę się bronić sympatii, tym bardziej że czuje się, iż to nie są uczucia z góry powzięte, umówione, ale przeciwnie: mimo uprzedzeń szturmem biorące serce i rozum.

Krótko Wam powiem, jest mi tu tak dobrze, że gdybym miał zapewnione życie wieczne, nie chciałbym go spędzić gdzie indziej. Obiecujecie mi jakieś dobre warunki pieniężne przy jakimś zamierzonym wydawnictwie, a ja Wam odpowiem na to: wynalazłem rzadką na świecie stronę, w której na pieniądze patrzą jak na coś, co nie wiem, do czego służy. Są to białe lub żółte krążki, których kilka leży w mojej kieszeni i – *that's all*! – zresztą

do niczego więcej nie służą, jak do zakupienia w mieście prochu i kul.

Tualeta moja, składająca się z flanelowej koszuli, z rypsowych portek i sombrero, kosztuje: *one dollar* (jeden dolar). Klimat nie wymaga tu innej. Na noc mam koc na wierzch, pod spód zaś *plenty* skór; sypiam przy ognisku z drzew – zgadnijcie jakich? Laurowych!

Pozbyłem się nerwów, katarów i bólu zębów. Sypiam jak król. Płócienny dach nad głową uważam za zniewieściałość; potrzebny tylko w czasie pory dżdżystej. Wrzaski nocne w nocy nie budzą mnie już, chociaż cały kanion (wąwóz górski) się nimi rozlega, od grzechotników zaś, zresztą niezbyt niebezpiecznych, chroni doskonale włosiane lasso położone w kółko przy ognisku.

Do tej pory trudy tego kozaczego życia wzmacniają mnie tylko, czy z czasem nie nastąpi reakcja i czy nie kropnę się od razu na ziemię pod ich brzemieniem – nie wiem. Ale tymczasem zdrów jestem jak byk, mocniejszy od Czerwonych braci daleko – wesół i kontent. Co rano, gdy się budzę i gdy przypomnę sobie, gdzie jestem, nie mogę wstrzymać uśmiechu niekłamanego zadowolenia. Budzę się do życia z uśmiechem. Gdybym siedział w jakim mieście, prawdopodobnie musiałbym się chwytać za jaki *business,* co jest łatwe, ale przeciwne mojej naturze, lub klepałbym biedę – tu niczego mi nie brak, nawet jakichś kilkunastu dolarów na proch, kule i śrut, bo gdy Indianie jadą po prowizję do miasta, zabierają i moje skóry, a przy tym po sto czasem pysznych koroniastych kuropatw i walking-birdsów, które mimo ciepłego klimatu mogą tydzień leżeć bez zepsucia się i których jednego dnia można strzelając doustem ubić *plenty.* – Oto moje źródła dochodu. A tymczasem długi w „Gazecie" spłacają się i mam nadzieję, że wreszcie nadejdzie czas, gdy będę miał u pana Krankowskiego jaki taki zapas, zapewniający mi odwrót w razie ostatecznym. A propos. Napiszcie mi, co się dzieje z *Baranią Głową*. Czy może znowu zginęła? Szczęściem mam brulion.

Ręka mnie boli, ale rozpisawszy się, żal mi kończyć. W tej ślicznej krainie prócz tarantul i skorpionów jest jeszcze jedna nieprzyjemna rzecz, to jest Santa Ana wiatr. Czasem obrzydliwe to wichrzysko trwa po parę dni. Jest to rozpalony oddech pustyni, łamiący dęby i platany w górach; tumany kurzu i całe fale rozpalonego powietrza niosące w sobie zapach jak gdyby ozonu lub siarki. Ludzie podczas tego wiatru oddychają z trudnością, antylopy i jelenie chronią się w zarośla, pumy i niedźwiedzie — w rozpadliny skał; konie trzymają nozdrza przy ziemi, tak jak wielbłądy w Saharze w czasie Simunu. W chwili, gdy piszę ten list, mamy właśnie to miłe zjawisko; pulsa moje biją gwałtownie, ręka boli, a o polowaniu nie ma co myśleć.

Spytacie się, co robię. Czasem pisuję na pieńku, siedząc – jakby Wam to powiedzieć –

na fotelu zrobionym z wołowych trzech czerepów powiązanych za rogi i wysłanych wiązkami mchu. Jeśli nie piszę, nie śpię, nie jem i nie…, to poluję. Czasem zabiera mi to całe dnie i noce. W ostatniej korespondencji obmówiłem się niepotrzebnie, przedstawiając siebie jako pudlarza. Mam dobre oko, dobrą rękę, dobry Henry-rifle i jestem wcale niezłym strzelcem.

Strzelając po całych dniach i nocach, nabyłem dużo wprawy. Trafiam kulą antylopę lub jelenia w biegu o 200 yardów. Brałem udział w awanturach z szarym niedźwiedziem (wujaszkiem grizli, jak go tu nazywają) i z kalifornijskim lwem, czyli kuguarem. Nie bałem się, bo strzelając dobrze i mając czternaście strzałów gotowych w karabinie, można się nie bać żadnej bestii. Raz tylko byłem w serdecznym strachu, gdy wracając po zachodzie słońca (a zatem nocą, bo tu zmrok bardzo krótki) do szałasu, spostrzegłem w wąskiej gardzieli górskiej drzewo rosnące przy strumieniu i zagradzające konarami drogę, a na drzewie dwoje wielkich, świecących oczu… Była to jakaś sowa czy diabeł. Zresztą napady zwierząt na ludzi zdarzają się tu wyjątkowo, więc niebezpieczeństwa nie ma.

W korespondencji, którą oddam na pocztę za parę dni, opiszę wszystkie te wypadki i wiele innych, dlatego listu tego ani wyjątków z niego upraszam nie drukować, bo zrobiłoby się powtarzanie. O młodej Indiance, która odwiedza mój wigwam i która dla miłości mojej zrzekła się ulubionego przysmaku: jedzenia wszy, także wspomnę w sposób idealny i wysoce stylistyczny.

Na koniec jeszcze jeden business. Robicie źle korektę niektórych wyrazów angielskich. „Halo” znalazłem przełożone na „Halloh”. Nie wiem, skąd. To wyraz indyjski, również jak i „hugh!”, który powtarzają co chwila.

Jeżeli wyprawa moja do Sonory przyjdzie do skutku, poznam pokolenia zupełnie jeszcze dzikie i usłyszę dialekta, z których porobię byle jakie choćby słowniki. Skwater Rub, który ze mną pójdzie, jest – jak twierdzi – pobratymcem w niektórych pokoleniach. Słowniki takie będą osobliwością w polskim języku. Wiecie co? Wydaje mi się, że teraz dopiero zaczynam naprawdę podróżować – bo jazdy koleją i zatrzymywanie się w hotelach – jednym słowem podróż w krainach ucywilizowanych *that is good for nothig*.

Do kraju obiecuję sobie święcie nie wracać inaczej jak piechotą przez całą długość Kalifornii, następnie przez Meksyk aż do Panamy. Wykonam to jak amen w pacierzu, tym bardziej że do Meksyku ciągle ciągną stepami karawany zakupujące dziesiątki tysięcy wołów. Karawany te wymagają eskorty ludzi zbrojnych, którym dobrze płacą, podróż więc zamiast strat przyniesie mi jeszcze korzyści. Niech żyje Ameryka, a po szczególe Kalifornia, nad którą nie masz kraju na świecie.

Mówią, że w stanach wschodnich jest daleko gorzej. Tu ciągła wiosna – obecnie jest

listopad, chociaż nie wiem, czy początek, czy koniec – kwiaty kwitną, kolibrys latają setkami — a przy tym człowiek, choćby tak do niczego jak każdy literat, z głodu nie umrze, choćby sobie dał słowo.

Ściskam Was, moi Kochani, i życzę Wam, aby Wam było tak dobrze, jak mnie.

H. Sienkiewicz

Anaheim

Przyjechałem tu onegdaj. List oddaję na pocztę sam. Chłapowscy są. P. Helena zdrowa, wesoła, opaliła się trochę, utyła; wygląda doskonale. O propozycjach w San Francisco prawda, ale prosiła mnie, żeby napisać wyraźnie, iżby tych wieści, niech Bóg broni, nikt nie drukował, bo w kontrakcie, którego nie zerwała z teatrem, ma zakazane występować gdzie indziej. Proszę więc o milczenie.

Co do powrotu, rzeczy nie stoją tak ostro, jak je przedstawiłem. Kontrakt nie zerwany – zdaje mi się więc, że lubo nic stanowczego dowiedzieć się nie mogę – cały wyjazd będzie ogromną podróżą, śliczną i przyjemną, która ma tę dobrą stronę, że siedzi pod nią business mogący przynieść dziesiątki albo i setki tysięcy dolarów. Kto, jak ja, zna teatra amerykańskie, ten dopiero zrozumie, co tu może być za sukces – Wy wybrednicy nie możecie mieć o tym pojęcia, również jak i o korzyściach materialnych sukcesu.

Kiedy wrócą, mówią, że sami nie wiedzą – chcą zwiedzić wiele, widzieć wiele, ale punktem środkowym pobytu będzie Anaheim, gdzie klimat jest istotnie bajeczny, a przy tym wszystko dość tanio. Myślę, że p. Helena, wystąpiwszy pod zmienionym nazwiskiem i narobiwszy przez parę miesięcy masy pieniędzy, powróci przez Paryż lub Włochy. Muchanów i teatr nie będą mieli wówczas racji się przyczepić, bo któż dowiedzie, że np. missis taka a taka i pani Modrzejewska jest jedną i tąż samą osobą.

Zależy to trochę od dyskrecji prasy – zapomniałem dodać, że oferty już jej powiększyli. Tak odwykłem od ucywilizowanych na sposób europejski ludzi, że nie umiem Wam powiedzieć, jak się nimi zachwycam. Ale i oni też przyjęli mnie z radością.

Zabawię z nimi, póki będzie można, a potem do Sonory! Warszawa, wieczory wtorkowe i życie ucywilizowane artystyczne żywo stanęło mi w pamięci. Co za przyjemność! Nie doznajecie tam takich wrażeń. – Pani Helena poleciła mi kłaniać się wszystkim w Warszawie. Kończę list, bo czas kończyć korespondencję.

Ściskam Was

H. Sienkiewicz